Przyjaciel Ludu.

Rok czwarty. **No. 32.** Leszno, dnia 10. Lutego 1838.



Czerna, pustynia z klasztorem i kościołem xięży Karmelitów bosych.

Witaj! Czerno ponura! twa dzika posada,
Nieznaną dotąd roskosz sercu zapowiada. . .
Fr. Wężyk.

O mil trzy od Krakowa, w sąsiedztwie Krzeszowic, leży pustynia, Czerną zwana, gorzystością, lasem, a nadewszystko smętnością okolicy, tak dobrze przeznaczeniu swemu odpowiedna. Kościół pod nazwaniem Ś. Eliasza i klasztor Karmelitów bosych, fundowała w roku 1628 Agnieszka z Tęczyńskich Firlejowa, wojewodzina krak.; *) a powód, który ją do téj pobożnéj myśli doprowadził, umieszczony jest w ciekawéj powiastce, z rzadkiego, acz nie tak dawno drukowanego dziełka **) wyjętéj, która się tu co do słowa powtórzy.

„Chcąc przytoczyć powieść o Firlejowéj, hrabinie tęczyńskiéj, muszę wprzód uczynić krótkie opisanie miejsca. W hrabstwie tęczyńskiém, o ćwierć mili od Krzeszowic, w krakowskiém, znajduje się puszcza, nazwana Czerna, z kościołem i klasztorem Karmelitów bosych, murem ciągnącym się na pół mili otoczona, przy któréj znajdują się kopalnie najprzedniejszych marmurów. Wjeżdża się do niéj przez most wspaniały (teraz już tenże jest zrujnowany) i przez bramę

*) Opis tego miejsca obacz w dziele: „*Kraków i jego okolice przez A. G.*, edyc. 3cia, r. 1836.

**) Zabawki bardzo ciekawe i wesołe etc. w Krak. u Ign. Gröbla, roku 1784, in 12. — Powód rzadkości, mała liczba wybitych exempl., gdyż zwykle w owych czasach 500 tylko drukowało się.

strzeżoną od mieszkającego tam zawsze pustelnika. Napis w dwóch językach wyryty na téj bramie, pod klątwą wchodzić daléj wszystkim białymgłowom zakazuje. Most murowany łączy dwie wielkie góry, który tak jest wysoki, że z niego można zrywać donośnych buków wierzchołki, które na dole rosną; pod nim płynie maleńka rzeczka na pobliską łąkę, w któréj się pstrągi znajdują. Kilkadziesiąt kroków za mostem, stoi kościół murowany na górze: wchodzi się do niego klasztorną fórtką, któréj dwa brytany, przykute na łańcuchach pilnują. W całym téj pustyni okręgu ustawiczne panuje milczenie: tylko przerywają go nabożne hymny, śpiewane w chórze, i kwilenia leśnych ptasząt. Dobrowolni więźnie, którzy się tam na pokutę zamykają, wyrzekają się mowy i wskazują na post ciągły. Przełożony ich nie może tam nawet powiedzieć swoich rozkazów *), chyba wyjechawszy za puszczą do wsi klasztornéj, nazwanéj Sielec. O fundatorce miejsca tego, Agnieszce Firlejowéj, z Tęczyńskich, taką wspominają powieść:

W ten czas, kiedy po domach pańskich kapelania bywała duchowną i świecką władzą, pewny Jezuita dostał się do Firlejowéj wdowy, na tę najlepszą wieku swego funkcyą, na któréj tak zręcznie umiał się kierować, że wkrótce i sumienia i dworu całego został wielowładnym rządzcą. Przecież, jako zawsze pokorny, umiał uskramiać wielowładztwo swoje do tego punktu, że niektóre drobniejsze sprawy w gospodarstwie, zostawił pani hrabinie do załatwienia. Ale, że miłość i chęć panowania nigdy nie cierpią wspólnika; sprzykrzyło się więc i jemu dzielić i tę małą rządu cząstkę z kobietą. Żeby się więc pozbył swojéj wspólniczki, i obie władze w sobie połączył, obrzydza jéj do reszty trudnienie się doczesnością; maluje przyjemnie spokojność od gospodarskich kłopotów, i przekłada najwalniejszy interes zbawienia; a natchnąwszy ją tém pragnieniem, dla pewniejszego osiągnienia nieba, wmawia w nię pustelnicze życie. Pobożna Pani słucha wszystkiego z wiarą, porzuca marności świata, i z niemi wszystkie dobra ziemskie, jako przeszkody do nabycia niebieskich. Stawia sobie pustelnicze mieszkanie wpośród lasów Czerny, i do niego z nieliczną usługą i szanownym ojcem duchownym z wspaniałych podwoi zamku tęczyńskiego przenosi się. Tak tedy ojciec kapelan, osadziwszy szczęśliwie hrabinę na bogomyślności, sam jedynowładnie w dobrach jéj panować zaczął. Aże był bacznym nadał i miłosiernym familii swéj ojcem, a przytém i w wiek zasiłym, chciał przeto dobrze uczynić swoim za życia, i myślał już o zapisach grodowych. Ale jakże zawodne są ludzkie zamiary, gdy im górna nie sprzyja opieka!... Jeden zakonnik szarego koloru pozbawił go całych widoków przyszłości, i te dobroczynne z cudzego szafunki rozwiał i zniszczył.

(*Koniec nastąpi.*)

*) Taką może była pierwiastkowa ostrość reguły pustelniczéj: dziś zapewne, jak wiele innych rzeczy, i przepisy te zmianie ulcdz musiały.

Wieczornica I.

Legenda o dziecku wybawioném od pioruna; — legenda o kościele Ś. Idziego w Krobi; — wspomnienia ludu z czasów morowego powietrza w środku XVII. i na początku XVIII. wieku.

W całéj Polsce panuje pomiędzy prostym ludem zwyczaj schodzenia się licznie na wieczór; szczególniéj zachowują go w adwencie, gdyż wieczory są w ówczas najdłuższe, a do pracy najmniéj zostaje. Po zmierzchu i wieczerzy, hoże dziewki, zasiadłszy na długich ławach ponad ścianą, zanucą kantyczki, i przy świetle dokładanego na kominek łuczywa, len przędą, albo drą piérze. Powoli schodzić się zaczną kumy i kumoszki, chłopaki i raźne dziewczątka: w niedzielę, to i z sąsiedniéj wioski jaki gach zawita na pogadankę. Tamto nasłuchać się można długich rozmów pomiędzy starymi i młodymi o tém, co się stało w mieście, co xiądz powiedział z ambony, co za nieszczęście kogo spotkało, albo też jaki się bierze do jakiéj, i tym podobnych nowinkach. Co chwila jakiś żarcik krotofilny zmyślnego chłopaka przerwie rozmowy i całe rozśmieszy towarzystwo. Gdy już treści do gawędki przybraknie, poczną wywodzić stare dzieje, różne dykteryjki, gadki; wtenczas to się dziewkom głowa zapala do ciekawych powiastek, o duchach, czarach, zaklęciach i cudach; lecz gach, spostrzegając przerażenie łatwowiernéj kochanki, rozerwie ją krotofilną gadką, a inna jéj pozazdrości takiego przyszłego; mowy i szepty, żarty i prześladowania zewsząd się krzyżują. Słowem, taka wieczornica zawiéra wszystkie przyjemności, i wszystkie uciechy życia wieśniaków; a uznając silne i niebezpieczne jéj ponęty, mówi znajoma pieśń ruska:

„Nechodyty
„Mołodyty
„Na Weczornyty.“

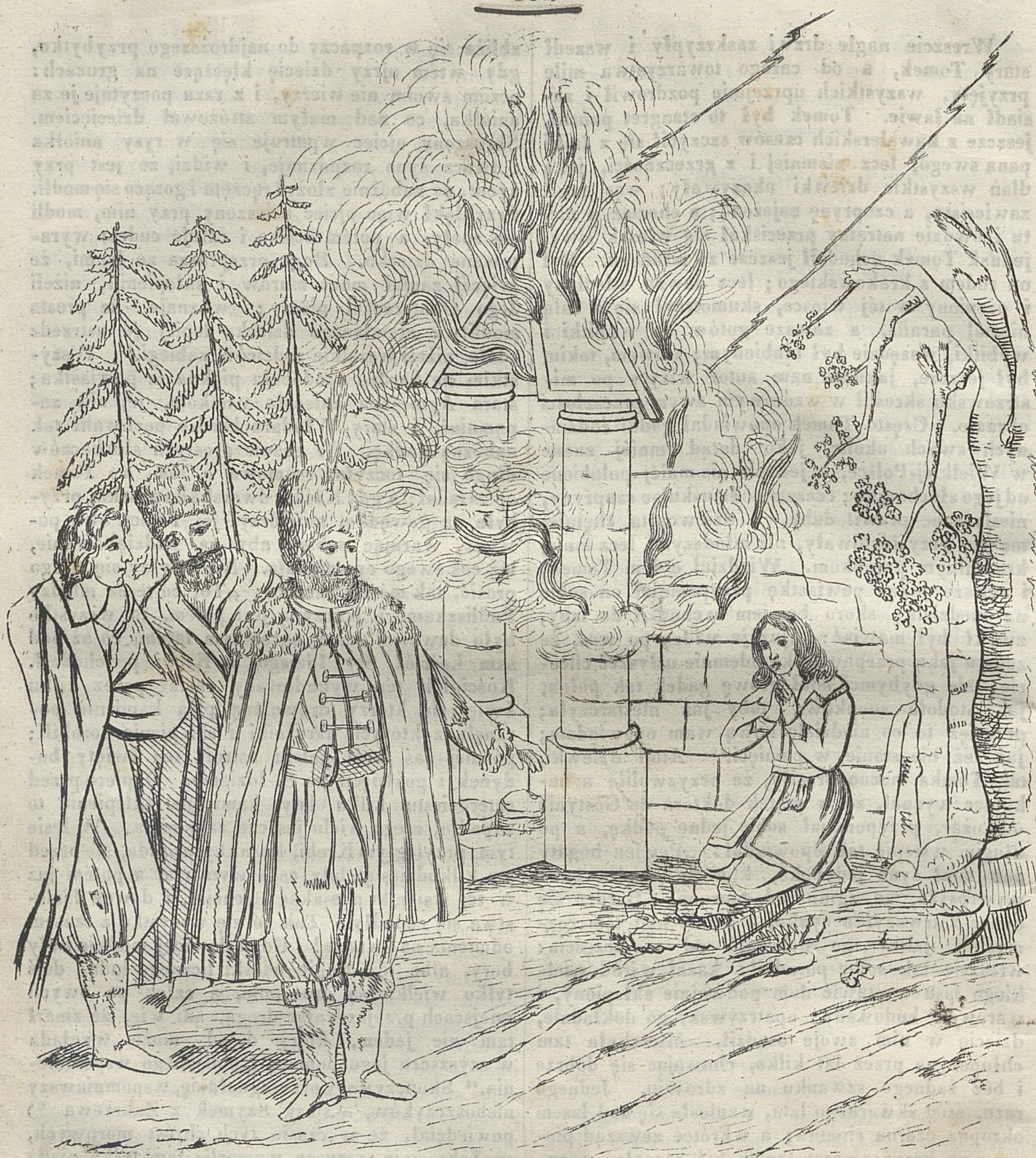
Przenieśmy się więc na chwilę pod strzechę wielkopolskiego chłopka, posłuchajmy wesołego gwaru wieczornicy, a wieśniaczego życia treść ją okraszającą wybierzmy dla poezyi. Zbierajmy po naszéj niwie wszystkie kwiatki, chociażby nawet skryte, lecz wonne fiołki i niskie rosą skrapiane stokrotki; a składając je z skromnością na ołtarzach ojczystych, cieszmy się myślą starego przysłowia, że byle zbierać „ziarnko do ziarnka, a będzie miarka.“

Pewnéj adwentowéj niedzieli naschodziło się do staréj Agnieszki dużo dziewek i chłopaków, i chociaż ochoczo się bawiono od godziny, jednak oczy ich ciągle się ku drzwiom zwracały, zdradzając oczekiwania niespokojnie wyglądanego gościa.

Wreszcie nagle drzwi zaskrzypły i wszedł stary Tomek, a od całego towarzystwa mile przyjęty, wszystkich uprzejmie pozdrowił i zasiadł na ławie. Tomek był to stangret pański, jeszcze z kawalerskich czasów szczycił się z łaski pana swego, lecz niemniej i z grzeczności, jaką dlań wszystkie dziewki okazywały; wąs nosił zawiesisty, a czuprynę najeżoną; a chociaż w niéj tu i owdzie natrętny przeciskał się włosek siwy, jednak Tomek uchodził jeszcze za młodego. Był on rodem z krakowskiego; lecz dawno osiedlony i ożeniony w téj wiosce, skumotrzył się z całą niemal parafią, a zawsze gotów do wypitki i wybitki, wszędzie był ulubionym; słowem, takim był jeszcze, jakiego nam autor wizyty po mistrzowsku skreślił w wzorowym swym przeszłości obrazie. Często Tomek opowiadał gadki rodzinnych swych okolic, jako dotąd mniéj znane w Wielkiéj-Polsce, a jednak nie mniéj polubione od jego słuchaczów; czasem podmuskując czupryny, niesłyszane prawił duby, a dziewczęta chętniej mu się przysłuchiwały, niż młodszym, lecz mniéj krotofilnym parobkom. Wiedział o tem Tomek, i zawsze jakąś powiastkę przypomniał on sobie na niedzielę; skoro bowiem wchodził do izby, zwykł był mawiać: „już ja widzę po was, że znowu jaką przepowiastkę odemnie usłyszeć chcecie; ale gdybymci miał głowę gadek tak pełną, jak stodoła snopków, toby już niestarczyła; przecięż to co niedzielę nową wam opowiadam; już też nie stanie w pamięci.“ Atoli dziewki, tak Tomka mocno prosiły, że przyzwolił; a nakoniec wyznał, że w piątek doktora do Gostynia odwożąc, przypomniał sobie jednę gadkę, a po długim wstępie tak opowiadał: „Pewien bogaty pan miał syna jedynaka, któremu mądra baba wywróżyła, że zginie od pioruna. Bardzo się ojciec zatrwożył o synka, i różnie nad tém rozmyślał, jakby go uchronić od nieszczęścia: wreszcie tak sobie poradził: kazał wśród wielkiego lasu wystawić dom podwójnie sklepiony, i warownie budowany; opatrzywszy go dokładnie, dziecię w nim swoje osadził. Mieszkała tam chłopczyna przez lat kilka, chowając się dobrze i bez żadnego szwanku na zdrowiu. Jednego razu, śród skwarnego lata, wzniosła się nad lasem okropna czarna chmura; a wkrótce zewsząd pioruny na krzyż nieprzestannie bić zaczęły, wszystkie zaś uderzały w sam środek lasu. Pan mieszkający opodal, na górze, truchleje, myśląc, że ostatnia już przyszła godzina na ukochanego syna; acz pełen strachu, jednak pospiesza do lasu. Jakiż go tam widok przeraża; cały dom w gruzach się zapadł, podwójne sklepienia i warowne mury nie wytrzymały nieustannych ciosów piorunów: *) zbliża się w rozpaczy do najdroższego przybytku, gdy wtém ujrzy dziecię klęczące na gruzach: oczom swoim nie wierzy, i z razu poczytuje je za aniołka, co nad małym stróżował dziecięciem. Skruszony ojciec wpatruje się w rysy aniołka i twarz syna rozpoznaje, i widzi, że jest przy życiu, że nabożnie złożył rączęta i gorąco się modli. Przykląkł więc ojciec ucieszony przy nim, modli się społy, a potém ściska i całuje cudem wyratowane dziecko. Boga przeprasza ze łzami, że więcéj zaufał mocy murów i sklepieniu, niżeli Jego Opatrzności pieczy; wyznaje, że prosta modlitwa niewinnego dziecka lepiéj je ustrzedz zdoła, niżeli wszelkie rodziców zabiegi.“ Wszystkim się bardzo spodobała piękna ta powiastka; stara Agnieszka zalecała wnukom, jéj nie zapomnieć, i stary Włodarz bardzo pochwalił tak nabożną gadkę. W gronie prostych słuchaczów długo się toczyła rozmowa o tém, co Tomek opowiadał; a gdy Kaśka, dworska kawiarka, przybyła na gawędkę, powtórzył jéj Tomek swą powieść, warując sobie, aby na podziękowanie, też coś swego opowiadała. Nie dawszy się długo prosić, tak mówić zaczęła: „To, co teraz między Pudliszkami i Kuczyną jest polem, to wszystko było dawnemi czasy ogromnym lasem, co aż pod sam kościół Śgo Idziego w Krobi podchodził. Kościołek ten wybudowany został przez kilku świętych, którzy drewnianą piłą kamienie porznęli, z których narożniki i sklepienie porobili; późniéj zaś król polski ustroił ten święty budynek i poświęcił go Ś. Idziemu. Dopiero przed czterdziestu kilku laty kamienne sklepienie to zapadło, czego wielu jeszcze zapamięta. W lesie tym, przyległym Krobi, liczna była osada, ale przed stu kilkudziesiąt laty cała wymarła, a potém już w téj wsi nikt mieszkać niechciał, i dawne domostwa się zapadły. Tak to się wszystko z czasem odmienia na świecie! Gdzie dawniéj wielkie były bory, albo też długie wioski licznego ludu, dziś tylko wielkie są orne pola, a człek po owych miejscach przejeżdżając drogą, ani wie, że zmarł tam nie jeden, który dotąd może wygląda w czyszczu jego pomocy i pobożnego wspomnienia.“ Skończywszy przeżegnała się, wspomniawszy nieboszczyków, a stary Szymek z Zakrzewa *) powiedział, że w czasie tych chróst morowych, w Zakrzewie wszyscy wymarli: tam tylko xiądz pleban i panna dworska zostali przy życiu, w Sarbinowie atoli wcale niepostała zaraza. Gmina chcąc się bowiem zabezpieczyć od moru straszliwego, tak sobie była zaradziła: Wybrała z pomiędzy siebie dwóch chłopców, bliźniaków, i dwoje wołów bliźnich: chłopcy ci zaprzęgli rzeczone woły do pługa i oborali całą naokół wieś: zaraza więc już niemiała gdzie przestąpić przez tę skibę, a chociaż krążyła w okolicy i całe wyludniała wioski, to do Sarbinowa wkroczyć

*) W tutejszych okolicach też samę powiastkę opowiada sobie lud prosty, z tą tylko różnicą, że ów Pan, dla większego bezpieczeństwa, nie murowany, lecz żelazny sklep wybudować kazał, w który piorun uderzył (żelazo przyciąga elektryczność) i skruszył. *P. R.*

*) Zakrzew, pod Rawiczem; Sarbinów i Lubonia zaś pod Poniecem leżą.



Dziecko wybawione od pioruna.

nieśmiała. Na tę pamiątkę postawiono krzyż, który dotąd przetrwał przeszło sto lat całych; co kilka lat, gdy od końca wygnije, to go głębiej wkopują, tak, że teraz mało co nad ziemię wystaje.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiewiórki amerykańskie.

(Czarna i popielata.)

Obecny czas, w którym tyle postąpiono w naukach i tyle nowych porobiono odkryć, wydał także mężów, co się do najskrytszych prawie tajników przyrodzenia wdarli; wszędzie cuda nowe, dotąd niespostrzeżone, wszędzie nowe wyprowadzając na jaw bogactwa. W nowym świe-



Wiewiórki amerykańskie.

cie, w nieprzejrzanych lasach Ameryki, znalazło pilne badaczy oko niezliczone mnóstwo zwierząt, o których nikt dotąd niewspomniał, samych wiewiórek kilka poznano gatunków. Dwa z tych wiewiórkę popielatą (Sciurus cinereus) i wiewiórkę czarną (Sciurus niger), obadwa gatunki mieszkające w północnéj Ameryce przedstawia nasz obrazek.

Popielica ściele sobie gniazdko w wydrążeniu drzew, z mchu i liści suchych: żywi się żołędzią, orzechami i kilku gatunkami zboża. W lecie zbiera sobie zapasy na zimę, i zachowuje je nietylko w gniazdku, ale i po innych miejscach bezpiecznych. Z początkiem mrozów uchodzą popielice do gniazdek swych, i tam przez całą zimę zwykle mieszkają, wychodząc wtedy tylko, gdy im na pokarmie zbywa. Pan Kalm powiada w podróży swojéj po Ameryce, iż uważał nieraz, jak wiewiórki te zwykle przed tęgiemi mrozami po lasach w wielkiéj się okazały liczbie, troskliwie znosząc sobie do gniazdek pokarmy, tak, iż mieszkańcy Ameryki widząc ich skrzętność, długiéj i tęgiéj się zimy spodziewali. Orzechy znajdowane po gniazdkach popielic, bardzo są dojrzałe i zdrowe; nigdy jeszcze zepsutego w nich nie spostrzeżono. Podziwienia godną jest także ich ostrożność i poczęści nawet odwaga; widząc się bowiem w niebezpieczeństwie, uciekają na drzewa, i tam wybrawszy sobie w miejscu, gdzie się kilka zrasta gałęzi, schronienie, nie opuszczają go, choćbyś tam kamieniami rzucał, a nawet i strzelał do nich. Scheffer widział je nieraz przeprawiające się gromadami przez rzeki w Laponii, gdy im w jedném miejscu na żywności zabrakło. Kilka dni przed przeprawą taką, znosiły już popielice na brzeg rzeki kawałki kory z drzew: w oznaczonym dniu zbierały się, a każda z nich wziąwszy w łapki kawał kory, zaniosła go na wodę, siadając na niego tak, iż podniesiony ogon za żagle statku jéj służył. Piękny to był widok, mówi tenże podróżnik, gdy flota taka odbijała przy spokojnéj wodzie, w porządku od brzegu; lecz jeśli wiatr powstanie podczas ich podróży, rzadko która dostaje się wtedy na brzeg drugi. W zjednoczonych krajach Ameryki, a mianowicie w Pensylwanii, uważają popielice za plagę kraju, niszczą bowiem zboża, a szczególniej maisowe pola, gdzie w jednéj często nocy o całe żniwa przyprawiają rólników. Rząd krajów zjednoczonych widział się zniewolonym wyznaczyć nagrodę na ich głowy, płacąc za jednę

2 pence (8 grp.). Rzucili się tedy wszyscy na wytępienie szkodliwego zwierza, a w przeciągu jednego roku (od Stycznia 1749 — 1750) zapłacił rząd Pensylwanii 48000 tal. nagrody tym, którzy na dowód swéj gorliwości główki popielic w biórach na to przeznaczonych oddali. Skórki popielic nie bardzo są cenione w Ameryce, mięso ich zato za przysmaczek uważają.

Równie szkodliwą dla pól zasianych maisem jest *czarna wiewiórka*, większa od popielicy i śmielsza od niéj. Odprawia ona znaczne podróże, z jednéj części kraju do drugiéj, zmuszona niedostatkiem żywności, zawsze gromadami znacznemi. Wędrówki ich w cieplejsze strony na zimę, są oznaką tęgich mrozów. Przez rzeki przeprawiają się śmiało, nie używając takich sposobów, jak popielice, ale ufają w własne siły. *Weld* widział je przepływające przez Nijagarę, w miejscu znacznéj szerokości: przy przeprawie téj podniesiony ogon służył im za żagiel, który raz w tę, drugi raz w drugą sztucznie obracały stronę. Skórki ich piękne i kosztowne dają futra.

Wyjątki z korrespondencyi literackiéj.

(Ciąg dalszy.)

„Trzebaby kiedyś coś napisać o powieściach i gadkach, do których wyszukiwania w poznańskiém dała, jak się zdaje, popęd brzoza gryżyńska. Trzebaby rozróżnić powieści od gadek. Jedne są wzięte z miejscowości, wyrosłe i przyrosłe do naszéj ziemi; drugie wschodnim przywiane wiatrem, błąkają się po niéj, krążą po wioskach, i podług osób, które je opowiadają, w inne stroją się barwy, zmieniają kształty pierwotne. Cóżby to pracy wymagało, dochodzenie ich źródła, przyczyn przekształcania, zlewania się z miejscowemi powieściami, a nakoniec i to sklejanie tychże gadek, często na części rozerwanych! Co do powieści rodzimych, trzebaby zwrócić na to uwagę, że takowe nie zawsze się rodzą, że wyrastają one zwykle z wielkich krajowych zdarzeń, zjawisk nadzwyczajnych natury: morów, głodów, wojen, cudów, okrucieństw, fundacyi klasztorów. Powieści te różnią się swoim charakterem po różnych województwach, jedne jeszcze dopływają nas w całéj swéj świeżości, drugie już rdzą i pleśnią zaciemniałe, trzecie tylko częściowo nas dochodzą, jak kawał żelezca, co niegdyś był puklerzem. Do poety więc należy wybrać, rozjaśnić, uporządkować, tworzyć niedostające części, motywować, co dramatyczniejszego bardziéj na jaw wystawiać, stopniować obrazy, zwlekać rozwiązanie, a wreście wykształconą w myśli całość, w przyzwoite barwy i formy przybrać. Téj to myśli porządkującéj, treść, światła, cienie, nie raz jeszcze wielu brakuje, a przecież ona zdaje się być oznaką genialności w sztuce. Jest także czasem wdziękiem i przekształcanie czynu historycznego tak w powieści, jak i balladzie: lecz wielkiéj do tego trzeba zręczności, aby o tyle tylko zbaczać od prawdy, a nawet ją zaciemniać o ile więcéj wieków przebiegło podanie, o ile przez ciemniejsze przechodziło czasy i ludy, i o ile nakoniec pierwotny głos powieści, późniejszemi zdarzeniami mógł być zatłumiony. Zawsze jednakże zmiana ta powinna przyczynić poetyczności przedmiotowi. Nikt się téj sztuki nie nauczy, trzeba się z nią urodzić. Bawi mię często, gdy nasi poeci skarżą się na osnowę, jako nie dość bogatą do ballady lub powieści. Odesłałbym ich do Bürgera, nie do cudownéj jego *Leonory*, gdyż ta już w zarodzie swoim wiele miała dramatyczności; ale do jego *krowy*, gdzie nic więcéj nie ma, oprócz tego, że złodziéj ukradł ją kobiecie, a chłop inną dał na jéj miejsce. Tamby widzieli, jak to poeta tworzy; jak z niczego, mnogie wywodzi piękności. Ale i w Leonorze nawet, ileż on rzeczy dotworzył? Nie tylko córka, ale i matka zarówno boleją, i w jedném prawie są położeniu; a przecież jak odbija jedna od drugiéj, jak każda ma swe rysy oddzielne, jak jęki ich różnią się dźwiękiem! Ale też nie dziwno, że Bürger tak pisał. Kreśląc Leonorę, strofy po strofie pod krytykę przyjaciół swoich do Jeny posełał, a dzikiego strzelca blisko dwa lata robił. Trzeba namysłu, trzeba pracy. Nie próżno Byron przezwał poema *dziecięciem myśli*. Umiał on się rozpłomienić, nie do niesfornego jeszcze imaginacyi swojéj utworu, lecz do téj pięknéj postaci, którą długim namysłem z duszy swojéj wywiódł, długą utworzył rozwagą. Nie pisał on nigdy w tym gorącym dymie wzniecającego się dopiero ognia, co najpiękniejsze często przedmiotu zaciemia skarby; lecz zawsze w téj jasności myśli i treści, którą długo tylko ważąca dusza z siebie wylać umie, i dla tego też właśnie, że wszystko wprzódy rozjaśnił, zdołał dojrzeć w sobie tych głębokich uczuć, bogactw duszy, i tych wielostronnych przedmiotu swego piękności, które dla porywczejszego pisarza wiecznieby zakryte zostały. Nie lękał on się utracić natchnienia; wiedział, że je zawsze znajdzie, jak ten malarz, co stokroć do pięknego wracając zarysu, zawsze nową zdaje się czuć duszą, w wyższą sztuki wynosić się sferę. — Ale wracając do gadek i powieści, my w Wielkiejpolsce jesteśmy jeszcze na niskim bardzo stopniu poetycznym. Przed rokiem jeszcze rzadko gdzie mówiono o miejscowéj poezyi. Dobrze więc jest, że zaczynamy od gminnéj; wypracujmy ją tylko szerzéj, sięgajmy coraz głębiéj, nie puszczajmy tak prędko odłogiem, a któż wie, czyli kiedyś nie wyrodzi się z tylu usiłowań szkoła prawdziwie narodowa. Wszakże zaczynają już błyskać gwiazdki nadziei, odzywają się młode i jeszcze obcemi literaturami nie skrzywione talenta. Oby tylko mocniéj się nad swemi przedmioty zastanawiały! oby nie zrażały się krytyką, któraby kiedyś przyszła! oby więcéj się oglądały na rzecz, cel, ogół, niż na chwałę! Chwała jest skutkiem dobrego pisania, nie celem! miłość sztuki i rodzinnéj ziemi, jedynym do pracy popędem. Takby być powinno, lecz czy tak będzie? Daj Boże. Żegnam, ściskam.

P. S. Podróż poetyczno-malownicza po W. Polsce, najwięcéj przyłożyć się może do wygrzebania skarbów poetycznych. Dziwną jest rzeczą, że tak prozaiczne, kartoflane równiny, bez lasów, ruin, tyle nam już pięknych podały gadek.

„Co do rymów tak odległych u Pana .... jesteśmy zgodnego zdania. Wielu z naszych przez sumienność tylko rym kładzie, aby go nie brakowało; lecz niedba, czy on w 8mym, czy w 9tym wierszu przyjdzie, a przecież trudno od ucha żądać, aby 5 lub 6 rymów zarazem pamiętało. W 13głoskowych wierszach rzadkobym także używał rymowania pierwszego wiersza z czwartym, bo 29 syllab trzeba przeliczyć, nim się dźwięk pierwszego rymu powtórzy. Mogłoby to być, ale w strofach tylko i to zawsze równych; gdyż w ówczas ucho włoży się powoli do téj muzyki. Używał i Biron tych odległych rymów, ale rzadziéj daleko, niż nasi, wyjąwszy 3go rymu Childa Harolda; a wreście umiał on jak genialny wieszcz i w tym względzie najpiękniejszy wzór zostawić w oblężeniu Koryntu, gdzie właśnie ta odległość rymów, w uroczną zamienia się piękność, chcę mówić o wysadzeniu twierdzy, gdzie szybkość zajmujących się wyrażając prochow, wśród długich wierszy, tym krótkim, lecz jakby gromem odzywa się nagle.

Tis fined!

I tu w ośmiu podobno wierszach mieszcząc wszystkie domy, świątynie, mury, chrześciany, muzułmany

wylatujące w górę, kończy wierszem malującym huk, krzyk i jęk ogólny.

In a wild roar expired!

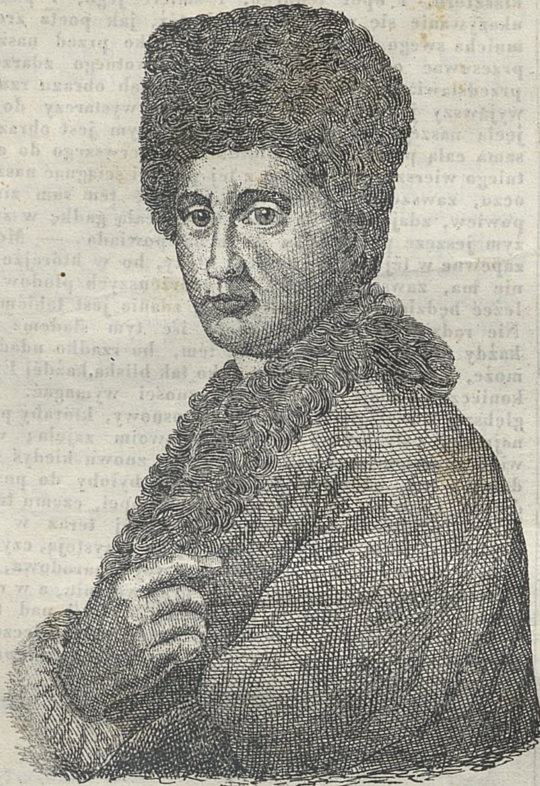
Tu to tak daleki rym, ręką tylko wielkiego artysty mógł być skryślony, bo co między temi dwiema wierszami się dzieje, dzieje się szybko i ledwie tchu staje do wymówienia tylu obrazów; a więc rymy te wierszami są oddalone, lecz rzeczą zbliżone. W pierwszym przyczyna, w ostatnim skutek. Nie bez przyczyny także wiersz zamykający jest dłuższym od zaczynającego, bo błyśnienie ognia jest krótsze, od huku i rozlegającego się łoskotu, wysadzonego w powietrze Koryntu! – Uważam ja także, że często u nas i trzeci rym tegoż samego dźwięku dołączają, lecz dla tego tylko, że przylazł pod pióro, i że tak jest wygodniéj dla lenistwa; przecież, jeśli się nie mylę, nie tak samowolnie czyniéby to należało. Może ten trzeci przypadkowy rym wiele dodać wdzięku, lecz trzeba wiedzieć, gdzie go użyć. Mickiewicz w Wallenrodzie, a Renouard w Templaryuszach, najzręczniéj go użyć umieli. — «Nie poświęcać myśli dla rymu,» wołają nasi młodzi poeci, i mają słuszność: lecz na cóż także złe rymy tworzyć? Miłoż nam jest w muzyce dosłyszeć jakiego dźwięku fałszywego, a nawet nie dość wymownego. Lubię rym i rym dobry, mówi Biron; dobry rzemieślnik nie skarży się na swoje narzędzia, wystarczy mu i język, i rymy należne przyjdą. I w saméj rzeczy tak było. Spojrzyjmy tylko w dzieło Dalla Sa, jak w Giaurze, w bardach nawet swoich wiersze dla lepszych przerabiał rymów. Znaleźlibyśmy to samo i w Szyllerze, porównywając pierwotne wierszy jego wydania z późniejszemi. Lichotą jeszcze są nasze miary, a i tak rzadko ich używamy, wyjąwszy celniejszych mistrzów, wszyscy grzeszymy przeciw wewnętrznéj harmonii wiersza, kopciemy obrazy nasze ciemnością; jeżeli więc jeszcze odrzucim i rym zgodno-dźwięczny, pełnobrzmienny, do czegoż to podobném będzie? Nie lepiejżeby było w ówczas prozą właśnie wzbić się na tak wielkiego poetę! Ale weźmie to może nie jeden za zabytek przesądów dawniéjszéj u nas szkoły, i zacznie jeździć po biednym rymowniku, a drudzy za nim. Przecież jakkolwiek gniew na siebie wzburzę, zawsze mówić będę, że to, co się ma z duszy wyśpiewać, powinno być jasne, czyste, dźwięczne i zgodne tak w całości, jak i szczegółach, trudne nawet; wtenczas tylko będzie wdzięcznem, gdy się w łatwość zamieni. — Cóżby dopiero ci panowie powiedzieli, gdybym im dalsze jeszcze moje rozwinął zdanie, że nie każdego wyrazu, choć dźwiękiem odpowiedniego, do rymu używać wypada. Każdy wiersz, ma jedno słowo, które jest jego duszą, a które czasem na rymie, czasem w środku, czasem też na samym początku wiersza mieścić potrzeba, i wcale nie jest obojętnie, gdzie je położę, gdyż właśnie od tego zapęd zwrotu i wybitność myśli zależy. Mógłbym tego wielu poetami, a zwłaszcza Homerem dowieść, ale trudno się w takie szczegóły wdawać w liście; com więc nie dopowiedział, ty to własną dorobisz myślą, i przyznasz może, że mam nieco słuszności, zwłaszcza, gdy zwrócisz uważnie oko na te nienaturalne polskiemu językowi zwroty; na te gwałtowne i wymuszone naciągania do rymu, którym przecież gardzą, na to klajstrowanie tylu farbami, dla zakrycia chudoty myśli. Szkoda, że Mickiewicz w téj mierze nie nie napisał, zwłaszcza, iż w niektórych jego wierszach szukają ci Panowie swego usprawiedliwienia, nie domyślając się nawet, że zaniedbany czasem wiersz lub rym u niego, nie jest bez skrytéj intencyi i właśnie rachubą sztuki; a wreście kto tyle i tak pięknych skryślił rzeczy, mógłby niekiedy i niedbalstwo sobie dozwolić wiersza lub rymu: Panowie ci, przecież, o których mowię, nie błędy tylko jego naśladowaćby powinni.»

«Miałem jeszcze słowo dodać o mnichu Pana B.. umieszczonym w ostatnim numerze P. L.. — Wątpię aby utwor ten podobał się tam wszystkim, a przecież ma on swoje zalety. Dwa były sposoby osnowania treści: lub wystawić wypędzanie zakonników, zburzenie klasztoru, i opór jednego, i śmierć jego, i po tym ukazywanie się w ruinach; lub też, jak poeta zrobił, mnicha swego jako fantasmagoryą tylko przed naszemi przesuwać oczy, same skutki pierwotnego zdarzenia przedstawiać, słowem wszystko w głąb obrazu rzucić, wyjąwszy jednę postać, która sama wystarczy do zajęcia naszéj wyobraźni, sama zupełnym jest obrazem, sama całą poezyą przedmiotu. Od pierwszego do ostatniego wiersza, nie możem z téj postaci ściągnąć naszych oczu, zawsze taż sama tajemniczość, ten sam zimny powiew, zdaje się, że nam ktoś tę całą gadkę w świeżym jeszcze przestrachu do ucha powiada. — Można zapewne w téj poezyi znaleść błędy, bo w któréjże ich nie ma, zawsze przecież do zdarzeńszych płodów należeć będzie, przynajmniéj moje zdanie jest takiém. — Nie radziłbym przecież wielu iść tym śladem: nie każdy przedmiot zyskałby na tém, bo rzadko udać się może, i bo wreście ballada, jako tak bliska każdéj Epos, koniecznie zdaje się dramatyczności wymagać. Ale głębszéj i rozleglejszéj dosięgam osnowy, którąby przynajmniéj cały arkusz rozkładem swoim zajęła; wolę więc przestać na teraz, aż się tam znowu kiedyś zgadamy o tém. Jeszcze, jeszcze wiele byłoby do powiedzenia, czem się ballada różni od Epopei, czemu treści chrześcianskie i narodowe, najbardziéj teraz w niéj poplacają, jakie formy najbardziéj jéj przystoją, czy nakoniec może być u nas z natury swojéj narodowa, czy stracimy, czy zyszczemy na jéj przyswojeniu, a w razie odrzucenia jéj, czem ją zastąpiemy. Myśl nad tém, a jak się spotkamy, będzie o czém cały wieczorek gwarzyć.»

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jan Jakób Rousseau.

Urodził się roku 1712. w Genewie, młodszy syn zegarmistrza, przyszedł słaby na świat i kosztował życie swéj matce; dla tego też urodzenie swoje piarwszém swém nieszczęściem nazywał. Rousseau powiada, że mając lat siedm, wiele miał religii; że pierwszém jego czytaniem romanse były, potém Plutarch: w ósmym roku umiał Plutarcha na pamięć, w dwunastym wszystkie ówczesne romanse przeczytał; przecież czytał też Tacyta i Grocyusza. Wśród instrumentów muzykalnych ojca, rychło muzykalny w nim się duch obudził. Z dziewiątym rokiem oddany został xiędzu pewnemu na wychowanie; w 14. roku dostał się w naukę do rzeźbiarza; ta sztuka odpowiadała jego skłonności, ale despotyczne traktowanie majstra odstręczyło go. Uciekł, błądził po Sabaudyi i z nędzy odmienił religią. Uczono go w klasztorze, z którego niedługo uciekł; po wielu awanturniczych przypadkach dostał się nareście za rekommendacyą jednego księdza sabaudzkiego do pani Warens do Annecy, która go w naukach i muzyce kształcić kazała, i nietylko go jak własnego pokochała syna, ale go nawet pieściła. W dwudziestym roku udał się Rousseau do Francyi, w nadziei, że przez znajomość muzyki zdoła się utrzymać. W Besançon z poklaskiem słuchano jego śpiewu w kilku koncertach; obiecywano mu pomoc, skoro jaka posada będzie wakująca. Tym czasem dawał lekcye muzyki w Chambery, dopóki słabość jego zdrowia nie przymusiła go do udania się do Montpellier. Powietrze morskie nie



Jan Jakób Rousseau.

służyło mu, wrócił do swéj opiekunki i zostawał u niéj aż do roku 1742, w którym posadę sekretarza u ambassadora francuzkiego w Wenecyi otrzymał. W półtora roku opuścił tegóż i udał się do Paryża; utrzymywał się tamże pisaniem nót, a w wolnych godzinach uczył się historyi naturalnej i chemii. W tym czasie dostał choroby kamienia, która go nie opuściła. Roku 1750 zyskał nagrodę w akademii w Dijon za odpowiedź na pytanie: „czy nauki i sztuki przyłożyły się do polepszenia obyczajów?“ Paradox jego, że były im szkodliwe, z zapałem zbijano; święta inkwizycya i dwór w Hiszpanii należały nawet do tego zbijania. W przedmowie do komedyi Narcyssa, broni się przeciw wielu nieporozumieniom przez motto: „vitam impendere vero.“ Niepodległość odtąd była celem jego życia. Potém wprowadził na teatr „le dévin du village“ małą operę, swéj kompozycyi muzyka i text. Opera ta zyskała powszechny poklask, autor od całéj Francyi był uwielbiany. Gdy jednak późniéj (1753) swe listy o francuzkiéj muzyce wydał, któréj nieudolność wskazał, natomiast powszechne było oburzenie. Śpiewacy, śpiewaczki, wirtuozy, którzy nie byli zdolni do pióra, udali się prosto do obelg, rozrzucali paskwile, piosnki i niegodne karykatury.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do *** o nadziei.

Gdy gwiazda szczęścia gaśnie na mém niebie,
Gdy kwiat mych złudzeń spada po kolei,
Gdy mnie los wiecznie wydziera od ciebie,
Każesz mi śpiewać piosnkę o nadziei!

Kochanko! śpiew mój może cię zasmuci;
Wszak słowik pieśni wesołéj nieskléi,
Gdy wiosna przejdzie, chociaż znowu wróci!
A ja . . . . lecz słuchaj, śpiewam o nadziei.

„Ty ciernie życia, o boska nadziejo!
„W kolory tęczy odziewasz przed okiem;
„Tyś matką złudzeń, co się wdzięcznie śmieją,
„I świat ten stroją cudownym urokiem.

„Ja ciebie kocham, a dla czegoż przecie
„Mniéj dziś, niż dawniéj, mam ufności w tobie;
„I gdy mi mówisz o czarownym świecie,
„Ja więcéj szczęścia upatruję w grobie.

„Czyż ja od ciebie ze zbiorów zalety,
„Czym kiedy lauru wyglądał na skronie? ...
„O! jam cię szukał w uśmiechu kobiety,
„Któryby troskę uśpił w mojém łonie.

„I nie daremnie; otoczona cnoty,
„Wdzięków, roskoszy ułudy boskiemi;
„Jak z tronu, z serca kochanéj istoty
„Śmiałaś się do mnie, zmysłami wszystkiemi.

„O! jak cię miło, w lubém oku witać;
„O! jak przyjemnie, wzajemnością płacić;
„O! jak roskosznie, w pocałunku chwytać;
„O! jak okropnie, razem wszystko tracić!

„Nadziejo! chociaż barwę mienisz z bliska,
„Choć dziś gorzkiemi zalewam się łzami;
„Nie dam ci przecież zwodnicy nazwiska;
„Bo cóż nie zwodzi i co nas nie mami!

„Złoto nie zawsze i nie wszystkich ludzi;
„Wdzięki i młodość, jako kwiat opadnie;
„Miłość ostygnie; cnota często znudzi;
„A ty się śmiejesz jeszcze w grobie na dnie.

„O! tam to szczerze; tam nic nie utrudzi;
„Nawet kochanych ust śmiechy, ni płacze,
„Złość, zazdrość, głupia opinia ludzi! ...
„Nadziejo! taką rychłoż cię obaczę?“

J. N. J.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)